

# Z dziejów Instytutu Zachodniego

## O MOIM BRACIE

Mojemu bratu, Krzysztofowi Skubiszewskiemu, jako twórcy nowej polskiej polityki zagranicznej po odzyskaniu niepodległości w 1989 r., jako prawnikowi i jako sędziemu zasiadającemu w międzynarodowych trybunałach w Hadze poświęcono już kilka publikacji<sup>1</sup> i dwie osobne konferencje, jedną w Londynie<sup>2</sup>, a inną w Warszawie<sup>3</sup>. O działalności publicznej brata mówił także minister Władysław Bartoszewski 12 grudnia 2014 r. z okazji otwarcia Gabinetu Ministra Krzysztofa Skubiszewskiego w Instytucie Zachodnim w Poznaniu<sup>4</sup>.

Nie czuję się kompetentny, by cokolwiek dodać do tych wypowiedzi i publikacji. Nie będę więc mówił o wkładzie mojego brata w naukę prawa i w sprawy publiczne. Pragnę natomiast opowiedzieć o tym, co zapewne jest mniej znane osobom, które spotykały Krzysztofa w życiu zawodowym, ale czego nie sposób pominąć, jeżeli chcemy przybliżyć jego osobowość. Mam na myśli przywiązanie Krzysztofa do rodziny oraz do Poznania – miasta, w którym się urodził, spędził dzieciństwo i wiele lat młodości, gdzie odbył studia i gdzie przez długie lata pracował jako nauczyciel akademicki. Mój brat zawsze podkreślał więź, jaka go łączyła z rodzicami, z rodzeństwem, z bratankiem, ale także z bliższymi i dalszymi krewnymi. O tym, co zawdzięczał domowi rodzinnemu, mówił publicznie, między innymi w swoim przemówieniu na uroczystości odnowienia doktoratu na Uniwersytecie imienia Adama Mickiewicza 10 grudnia 2004 r.: „W pierwszym rzędzie wspominam moich rodziców i atmosferę domu rodzinnego. Był to dom, w którym książki odgrywały wielką rolę. (...) Rodzice moi przywiązywali zasadniczą wagę do tego, iżby ich dzieci od najmłodszych lat uczyły się języków obcych. (...) Powiem jeszcze jedno, rodzice zadbali o to, iżby swe dzieci umieścić w możliwie

<sup>1</sup> Spośród wielu, wymienię tutaj dwa tytuły: *Pozycja Polski w Europie*, pod red. Dariusza Popławskiego, Fundacja Studiów Międzynarodowych, Warszawa 1994 i *Krzysztof Skubiszewski – dyplomata i mąż stanu*, pod red. Romana Kuźniara, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 2011.

<sup>2</sup> Materiały konferencji zorganizowanej w dniu 14 listopada 2013 r. przez Ambasadę RP w Wielkiej Brytanii, *Lauterpacht Centre for International Law – University of Cambridge* i *Queen Mary University of London School of Law* zawiera publikacja: James Crawford, Grzegorz Dziemidowicz, Rosalyn Higgins, Zdzisław Kędzia, Bartłomiej Krzan, Marek Prawda, Ryszard Stemplowski, *Professor, Minister, Judge – Krzysztof Skubiszewski 1926-2010*, Preface by Ambassador Witold Skobków, Coordinated by Ryszard Stemplowski, Contains biographical data and photos courtesy of the Skubiszewski Foundation and the Skubiszewski Family Photo Archives, Warszawa, Scholar Publishing House, 2015.

<sup>3</sup> „Konferencja z okazji 25. rocznicy powołania na urząd Ministra Spraw Zagranicznych RP profesora Krzysztofa Skubiszewskiego” została zorganizowana 12 września 2014 r. przez Fundację imienia Krzysztofa Skubiszewskiego, Instytut Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wzięło w niej udział 8 referentów i kilkunastu dyskutantów. Przewiduje się publikację materiałów tej konferencji.

<sup>4</sup> Podczas tej uroczystości przedstawiłem skróconą wersję niniejszego tekstu.

najlepszych szkołach, dostępnych w danych nam okolicznościach”<sup>5</sup>. Wspomnienie o rodzicach wracało szczególnie często w ostatnich latach jego życia, już po zakończeniu pracy na stanowisku ministra. Długie rozmowy o rodzinie prowadziliśmy w jego mieszkaniach w Warszawie na ul. Lewickiej i w Hadze na Parkweg, albo też w moim domu na ul. Karowej, dokąd stale przychodził w czasie swych przyjazdów z Hagi do Warszawy i gdzie co roku, wspólnie z moją żoną, zasiadaliśmy do wigilijnej wieczerzy (il. 1 i 2). Kiedy odczytywałem niedawno zapisy rozmów z Krzysztofem o naszych przeżyciach w czasie wojny, uderzało mnie, jak wiele miejsca zajmowali w nich nasi rodzice i pamięć o tym, co dla nas uczynili<sup>6</sup>.

Drugim wątkiem, który brzmiał równie silnie we wspomnieniach mojego brata, było jego poczucie więzi z Poznaniem i z Wielkopolską. To także podkreślił przy okazji wspomnianej uroczystości odnowienia doktoratu. Udzielając wywiadu dziennikarzowi „Głosu Wielkopolskiego” powiedział: „Urodziłem się w Poznaniu, tu byłem wychowany i tu mieszkałem, z przerwą wojenną, do 1989 r. To jest związek, który sprawia, że uważam się za poznańczyka”<sup>7</sup>. Do Warszawy przeprowadził się, gdy został powołany na urząd ministra. Później założył drugi dom w Hadze, gdzie pełnił funkcje sędziowskie w trybunałach międzynarodowych, a jednego z nich był prezesem. Do nowych miejsc mój brat szybko przywykł, ale kiedy w późnych latach rozmawialiśmy o tym, że los potrafi nas rzucać w różne strony świata, nie krył nostalgii za Poznaniem.

Kiedy Niemcy wysiedlali nas z Wielkopolski w końcu listopada 1939 r., Krzysztof miał ukończonych trzynaście lat, a obdarzony wspaniałą pamięcią, w pełni zachował obraz przedwojennego Poznania, osiadłej w nim od pokoleń rodziny naszej matki Anieli z domu Leitgeber i różnych miejsc w Wielkopolsce, do których jeździł z rodzicami i rodzeństwem, czyli z naszą najstarszą siostrą Marychną i ze mną, najmłodszym<sup>8</sup>. W tym, co mój brat mówił o przeszłości, kiedy spotykaliśmy się w ostatnich latach jego życia, obydwa wątki – rodzina i Poznań z Wielkopolską – splatały się w jedno.

Zawsze wracał myślą do naszego mieszkania na ul. Dąbrowskiego, które ja także, choć o pięć lat młodszy od Krzysztofa, wspominam jako serce życia rodzinnego, tak przed wojną, jak po wojnie (il. 3). Wróciliśmy bowiem do niego z rodzicami w 1945 r. po zakończeniu okupacji niemieckiej. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze kamienicy, którą polecił wybudować w 1907 r. nasz dziadek ze strony matki, Jan, właściciel fabryki cygar. Do końca życia zajmował tam z żoną Marią z Otmianowskich i z czworgiem dzieci, mieszkanie na pierwszym piętrze. Za kamienicą dziadek postawił budynek fabryki. Za fabryką rozciągał się ogród, w którym – jak nam mówiła nasza matka – bawiła się ze swym rodzeństwem. Ale dla nas były to już tylko opowieści. Po wielkiej wojnie fabrykę zabrał Polski Monopol Tytoniowy i wkrótce to miejsce opuścił, a w dawnym budynku fabrycznym, na który spoglądaliśmy

<sup>5</sup> Cytuję według stenogramu przemówienia. Stenogram ten, jak również inne dokumenty, na których się opieram w tym wspomnieniu, są przechowywane w naszym archiwum rodzinnym.

<sup>6</sup> Rozmowy przeprowadzone w latach 2006-2007, przechowywane w naszym archiwum rodzinnym w formie notatek i nagrań.

<sup>7</sup> *Poznańczyk. Z profesorem Krzysztofem Skubiszewskim rozmawia Wojciech Nentwig*, „Głos Wielkopolski”, 10.12.2004, s. VII.

<sup>8</sup> O naszym ojcu zob. Roman Meissner, „Skubiszewski Ludwik Marcin”, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*. T. XXXVIII, Warszawa-Kraków 1997-1998, s.492-495. O naszej matce zob. Sławomir Leitgeber, *Dzieje rodziny Leitgeberów od XVIII do XX wieku*, Poznań-Wrocław, Wydawnictwo Historyczne, 2002 („Biblioteka Genealogiczna”, t. 7), s. 184-186. W książce Sławomira Leitgebiera czytelnik znajdzie informacje o każdym ze wzmiankowanych niżej członków rodziny Leitgeberów.

z okien wychodzących na podwórze, mieściło się prywatne gimnazjum Brunona Czajkowskiego. Dzisiaj, kiedy wracam pamięcią do opowiadań naszej matki o przejściu przez państwo fabryki po I wojnie światowej i o dziejach tamtej posesji, zastanawiam się, czy dla Krzysztofa, zawsze zdumiewającego mnie swoją znajomością historii XX w., nie były to pierwsze lekcje tego przedmiotu.

Wszyscy troje chodziliśmy przed wojną do tej samej szkoły powszechnej Janiny Sulerzyskiej „przy świętym Marcinie”. Z ul. Dąbrowskiego jeździło się na ul. Św. Marcin tramwajem. Krzysztof ukończył szkołę pani Sulerzyskiej w rok po Marychnie, w czerwcu 1938 r. i przed wybuchem wojny zdążył jeszcze odbyć naukę w pierwszej klasie gimnazjalnej w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Karola Marcinkowskiego. Do niezbyt odległego od nas „Marcinka” chodził pieszo.

Kiedy rozmawialiśmy z Krzysztofem o naszym życiu w przedwojennym Poznaniu, jednym z często wracających tematów było wspomnienie niedzielnych spacerów z rodzicami i rodzinnymi wizyt. Odbywały się one zwykle po mszy św. w naszym parafialnym kościele p.w. Serca Jezusowego na Jeźcach. Szło się wtedy albo jechało tramwajem przez Most Teatralny, jak mówiliśmy „do miasta”, i w programie było zwykle jakieś zwiedzanie. Najlepiej pamiętam wizyty w Muzeum Wielkopolskim, gdzie fascynowały nas przede wszystkim wyroby i stroje ludowe wystawione w wielkiej sali na parterze, od strony ulicy Nowej<sup>9</sup>, w dziale etnograficznym, którym kierowała Wiesława Cichowicz, zresztą znajoma naszych rodziców. Te niedzielne wyprawy czasami kończyły się fundowanym nam przez ojca obiadem w Bazarze.

Nasza matka bardzo pielęgnowała więzy rodzinne i z czasów przedwojennych dobrze zapamiętałem cztery domy, które wszyscy troje często odwiedzaliśmy razem z rodzicami. Najbliższe mieszkania na ul. Dąbrowskiego, bo na ul. Słowackiego, był położony dom, w którym mieszkał Roman Leitgeber, ostatni żyjący jeszcze stryj naszej matki. Od młodości był on członkiem Ligi Narodowej, później Stronnictwa Narodowego, współzałożycielem, a potem głównym udziałowcem i wreszcie dyrektorem wielkiego wydawnictwa prasowego „Drukarnia Polska”. Przyjaźnił się z Romanem Dmowskim<sup>10</sup>. Tam rozmowy toczyły się głównie o polityce.

Blisko naszej kamienicy na Jeźcach, bo na ul. Jasnej<sup>11</sup>, było też położone mieszkanie cioci Jadwisi – Jadwigi Hedingerowej, z domu Otmianowskiej. Była ona siostrą naszej babki. Ciocia Jadwisia, wdowa po Witoldzie Hedingerze, radnym miejskim i senatorze<sup>12</sup>, nadal zajmowała ze swymi dziećmi duże mieszkanie, które bardzo lubilem, ponieważ mogłem po nim biegać przez całą amfiladę pokoi. Tam rozmawiało się głównie o rodzinie.

Na Starym Mieście, przy ulicy Wielkiej, znajdowało się mieszkanie wuja Władysława Seydy, męża cioci Marysi, jedynej siostry naszego dziadka Jana Leitgebера. Tam, o ile pamiętam, rozmawiało się głównie o polityce, ponieważ wuj Władysław, prawnik, kiedyś przewodniczący Koła Polskiego w *Reichstagu*, minister byłej Dzielnicy Pruskiej i pierwszy prezes Sądu Najwyższego, był działaczem Stronnictwa Narodowego<sup>13</sup>. Byłem jednak za mały, by mnie to mogło interesować. Fascynowało mnie natomiast to, że w wielkim gabinecie, w którym przy-

<sup>9</sup> Dzisiaj ul. Paderewskiego.

<sup>10</sup> Adam Galos, „Leitgeber Roman” [w:] *Polski Słownik Biograficzny*. T. XVII, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1972, s. 12-13.

<sup>11</sup> Dzisiaj ul. Roosevelta. Dom ten już nie istnieje.

<sup>12</sup> Lech Trzeciakowski, „Hedinger Witold” [w:] *Polski Słownik Biograficzny*. T. IX, Wrocław-Warszawa-Kraków 1960-1961, s. 334.

<sup>13</sup> Henryk Korczyk, „Seyda Władysław Kazimierz” [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, T. XXXVI, Warszawa-Kraków 1995-1996, s. 359-361.

mował nas wuj Władysław, piętrzyły się na podłodze ogromne stopy gazet, do których wolno mi było zaglądać; oczywiście pod warunkiem, że je z powrotem, w największym porządku odłożę.

Wreszcie ostatnim z tych dobrze przeze mnie zapamiętanych miejsc, do których chodziło się z rodzicami, był jeden z pokoi w szpitalu Przemienienia Pańskiego, przy placu Bernardyńskim. Mieszkał w nim stryj Feliks, brat naszego ojca, chirurg, uczeń i bliski współpracownik Antoniego Jurasza, także wykładowca Uniwersytetu Poznańskiego<sup>14</sup>. Struja Feliksa, ojca chrzestnego Marychny, wszyscy bardzo lubiliśmy. Do nas, do dzieci, odnosił się niezwykle przyjaźnie, był wesoły i opowiadał nam dowcipy, które dobrze rozumieliśmy. Pamiętam, że w czasie tych wizyt w szpitalu Przemienienia Pańskiego dorośli rozmawiali przeważnie o medycynie i o profesorach na Wydziale Lekarskim. Moje oczy w pokoju stryja przyciągał kosz, który stał na wielkim stole, zawsze po brzegi wypełniony pomarańczami, mandarynkami, bananami i z królującym nad tymi owocami ananasem.

Nasi rodzice przyjmowali u nas w domu wielu gości<sup>15</sup>. Pamiętam, że jadalnia i gabinet ojca w mieszkaniu na Dąbrowskiego były czasami wieczorem całkowicie wypełnione gośćmi – głównie krewnymi, ale także przyjaciółmi rodziców. Byłem zbyt mały, by zapamiętać prowadzone wówczas rozmowy, ale chyba wiele tematów wróciło podczas rodzinnych spotkań w tym samym miejscu po wojnie – a te pamiętam już dobrze (il. 4 i 5). Tematy te musiały wrócić, ponieważ dość liczni nasi krewni wojnę przetrwali i w mało zmienionym gronie znowu się u nas na ul. Dąbrowskiego spotykali. Pokolenie rodziców, ich ojców i matek, ich ciotek, wujów i kuzynów – to pokolenie, które część życia przeżyło jeszcze pod zaborami, a kolejną część w międzywojennej wolnej Polsce. Odkrywaliśmy wtedy z Krzysztofem i Marychną, jak bardzo tamte, dawne dla nas czasy, nadal naznaczały ich poglądy. Rozmowy były bardzo ożywione, ponieważ do starszych dołączyło młodsze pokolenie, przyjaciele mojego rodzeństwa, a wśród nich dwaj najbliżsi przyjaciele Krzysztofa: Jerzy Łukaszewski i Janusz Ziółkowski. Znowu często przychodził do nas stryj Roman, któremu udało się przetrwać wojnę, mimo że był poszukiwany przez *Gestapo*. Wraz z nim, w czasach panowania komunizmu, dochodziła znowu do głosu silna dawniej w Poznaniu myśl narodowa. Ale nie wszyscy podzielali jego poglądy.

Nasz ojciec należał do innego świata. Urodzony w Czemiernikach na Lubelszczyźnie, chodził do gimnazjum najpierw w Łosicach, a potem w Lublinie, skąd za udział w strajku szkolnym 1905 r. został usunięty, ale po amnestii pozwolono mu zdać maturę w Białej Podlaskiej. Następnie odbył studia medyczne, które zakończył w Kijowie i osiedlił się w Millerowie, w guberni rostowskiej, gdzie był naczelnym lekarzem tamtejszego szpitala Czerwonego Krzyża. Opuścił Dońszczyznę dopiero w 1919 r., uciekając przed bolszewikami. Należał więc do tysięcy Polaków, którzy mieszkali i pracowali na olbrzymim obszarze cesarstwa rosyjskiego, stykając się tam z jego różnymi językami i kulturami. Był to na pewno świat poddany opresji samodzierżawia, ale jednocześnie świat wewnętrznie bardzo złożony, pełen ludzi o bogatej

<sup>14</sup> Stanisław Tadeusz Sroka, „Skubiszewski Feliks” [w:] *Polski Słownik Biograficzny*. T. XXXVIII, Warszawa-Kraków 1997-1998, s.490-492.

<sup>15</sup> Myślę, że była w tym głównie zasługa matki, która kontynuowała tradycję przyjęć wyniesioną z domu swoich rodziców, a także z niezwykle gościnnego – jak nam opowiadała – domu „businki”, czyli swojej babki, Stanisławy Leitgeberowej. Atmosferę przyjęć u „businki”, w domu na Garbarach, sugerownie oddał w swoim wspomnieniu brat matki Bolesław; zob. Bolesław Leitgeber, „Parafja zdrowego rozsądku”, [w:] *Kraj lat dziecińczych*, M. I. Kolin Publishers, London 1942, s. 151-169 [2-gie wydanie: Puls Publications, London 1987, s. 124-138].

przeszłości. Kiedy ojciec zabierał głos przy rodzinnym stole, sprawy polskie nagle ukazywały się w perspektywie innej, niż ta, którą wyznaczały jedna dzielnica i jedno środowisko.

W tych powojennych dyskusjach Krzysztof brał już żywy udział i wówczas – to dobrze pamiętam – w moich oczach zaczęła zarysowywać się wyraźnie jego wybitna osobowość. Oczytany, doskonale obeznany z najnowszą historią polityczną Polski, w słowach zawsze precyzyjny, potrafił ująć poruszany temat z zaskakującą celnością. Szybko stał się rozmówcą, którego wszyscy w rodzinie i w kręgu przyjaciół, również najstarsi, słuchali uważnie i chętnie. Wiedzieliśmy też w domu, że rośnie jego autorytet w świecie naukowym. Gdy po śmierci Stalina pojawiła się możliwość wyjazdu do krajów zachodnich, Krzysztof odbył studia uzupełniające za granicą. W lipcu i sierpniu 1956 r. słuchał wykładów z prawa międzynarodowego na dorocznym letnim kursie *The Hague Academy of International Law* (po latach sam miał wykładać na tej akademii i zostać członkiem jej władz). Wkrótce potem, w semestrze zimowo-wiosennym roku akademickiego 1956/1957, studiował nauki polityczne w *Centre Européen Universitaire* w Nancy. Wreszcie cały następny rok akademicki spędził na studiach prawniczych na *Harvard University*, skąd przywiózł stopień *Master of Law*. Ze swoimi przyjaciółmi, między innymi z Jerzym Łukaszewskim i z Tilghmanem Evansem, odbywał wtedy liczne podróże po całych Stanach Zjednoczonych<sup>16</sup> (il. 6). Po każdym z tych wyjazdów wracał do Polski na pewno coraz bogatszy w wiedzę prawniczą, ale my w domu dostrzegaliśmy przede wszystkim, że w czasie tych pobytów myślą swoją wiązał się coraz bardziej ze światem Zachodu i coraz bardziej umacniał w sobie te wartości, które rodzice wpajali nam od dzieciństwa. Cieszyło nas to niezmiernie.

Były to już niestety czasy, kiedy nasze rodzinne grono szybko się zmniejszało. W 1957 r. zmarł nasz ojciec. Nie żyli już nasi stali goście: babka, stryj Roman i inny, nieco dalszy krewny matki, który często do nas przychodził i którego bardzo lubiliśmy – Leon Leitgeber. Skończyła się młodość i wszyscy byliśmy już zanurzeni w sprawach dorosłego życia w kraju komunistycznym. Niektórzy z bywających często u nas, wśród nich bardzo bliski Krzysztofowi Jerzy Łukaszewski, opuścili Polskę na stałe. Stopniowo ubywało także samych mieszkańców domu na ul. Dąbrowskiego. Po zawarciu małżeństwa wyprowadziłem się stamtąd w 1961 r., a trzy lata później opuściłem Poznań i przeniósłem się na stałe do Warszawy. Marychna wyszła za mąż i w 1967 r. wyjechała do Anglii. Władze komunistyczne nie zezwoliły, by tylko dwie osoby zajmowały dłużej czteropokojowe mieszkanie i nakazały naszej matce i Krzysztofowi przeprowadzić się na ul. Słowiańską 18 do socjalistycznego bloku, gdzie każde z nich otrzymało miniaturową kawalerkę<sup>17</sup>. Duża część rodzinnych mebli została rozdana, a książki i archiwum naukowe Krzysztofa z największym trudem pomieściły się tam na niewielkiej przestrzeni. Kiedy przyjeżdżałem w tamtych latach z moją rodziną do Poznania i spotykaliśmy się czasem z Krzysztofem oraz z zaproszonymi przez niego gośćmi z zagranicy, ci nie mogli się nadziwić, że ich kolega, wybitny uczony, który wykłada prawo międzynarodowe na najlepszych uniwersytetach Europy i Ameryki, mieszka i pracuje w takich warunkach. Ale pamiętam, że ciasnotę na ul. Słowiańskiej Krzysztof znosił z pogodą. Spadła teraz na jego barki opieka nad matką. Trudno mi znaleźć słowa, by wyrazić podziw dla oddania, z jakim zajmował się nią aż do jej śmierci.

<sup>16</sup> Tilghmana Evansa Krzysztof zaprosił wkrótce potem do Polski i odbyliśmy wówczas w trójkę podróż krajoznawczą po Wielkopolsce i Ziemi Chełmińskiej. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na gościu Krzysztofa robiły rozpadające się autobusy PKS i kotlety schabowe z kapustą w lokalnych restauracjach Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska.

<sup>17</sup> Obecnie ul. generała Maczka.

Kiedy próbuję dzisiaj wyobrazić sobie to, co kształtowało umysł i postawę młodego Krzysztofa, nasuwa mi się nieodparcie jeszcze jedno, coś, co było zresztą jak najściślej z naszym życiem rodzinnym splecione: podróż. Także do tego wątku swoich przeżyć mój brat bardzo chętnie wracał, kiedy wspominaliśmy sobie dawne lata.

Przed wojną w naszych rodzinnych wyjazdach poza Poznań pierwsze miejsce zajmowała Wielkopolska. Przede wszystkim Borzykowo w powiecie wrzesińskim, niewielki majątek, który nasza babka kupiła po utracie fabryki dziadka i sprzedaży domu na ul. Dąbrowskiego<sup>18</sup>. W Borzykowie spędzało się co roku letnie wakacje (il. 7) i tam jeździło się w pole oglądać żniwa, by potem godzinami wpatrywać się w parową lokomobilę, która stała na podwórzu i poruszała młockarnię. Do Borzykowa stale licznie zjeżdżała rodzina z Poznania, a nawet z zagranicy i moja pamięć dziecka zanotowała tam dwa główne miejsca spotkań. Najpierw, wielką werandę, gdzie wszyscy zbierali się na podwieczorki. Następnie, trawnik w parku, zresztą niezbyt wielkim, gdzie grało się w krokieta albo w „zgniłe jaja”. Do dziś słyszę głos ciotki Gerdy, Dunki, żony wuja Bolesława, która rzucając w górę piłkę, woła „Krysz, Krysz”, bo imienia Krzys wymówić nie potrafiła. Krzysztof miał w Borzykowie w ogrodzie swój ukochany ogromny kamień, na który zawsze pierwszy wskakiwał, kiedy szliśmy gromadką spacerem w tamtą stronę, i nie pozwalał na nim stanąć nikomu innemu, a już zwłaszcza młodszemu bratu. Z Borzykowa jeździło się też często do okolicznych sąsiadów naszej babki, ale najlepiej pamiętam wypad na podwieczorki do pobliskiego Neryngowa. Tam majątkiem zarządzał wuj Antoni Śmigiełski, mąż siostry naszej matki, ciotki Ewy, mojej chrzestnej matki. W Neryngowie bawiliśmy się z ich dziećmi Wojtkiem i Jackiem; najmłodszy, Andrzej, był jeszcze w kołysce.

Po Borzykowie, najczęstszym celem naszych wyjazdów z Poznania na wieś była Laskownica Mała w powiecie wągrowieckim. Właścicielem tamtejszego majątku był Stefan Kuczyński, mąż jednej z ciotecznych sióstr naszej matki, Janiny z Seydów, mój chrzestny ojciec. Tam zbiegaliśmy z domowego tarasu szerokimi i długimi schodami w stronę jeziora, w którym wszyscy się kąpali. Najlepiej pamiętam pobyt w Laskownicy na początku wakacji 1939 r. (il. 8). Nasz Krzysztof jeździł wtedy konno z Krzysztofem, synem wujostwa i paradował w nowiutkim mundurze harcerza „Błękitnej Czternastki”, drużyny działającej przy „Marcinku”. W Laskownicy w tamtych dniach nie mówiono o niczym innym, jak o politycznej sytuacji Polski i o sejmowym przemówieniu Józefa Becka. Miałem wtedy niecałe osiem lat i niewiele z tamtych dyskusji rozumiałem. Zapamiętałem wszakże słowo „honor”, które padło przy końcu mowy Becka i które z entuzjazmem powtarzano. Mam wciąż jeszcze przed oczyma sylwetkę Krzysztofa dyskutującego w Laskownicy z dorosłymi.

Były także inne wyjazdy do rodziny na wieś, których echa stale później wracały w moich rozmowach z Krzysztofem i przy wspólnym oglądaniu albumów z fotografiami zrobionymi przez naszą matkę. Na przykład, wyjazdy do Głębokiego w powiecie gnieźnieńskim, gdzie miał swój dom Czesław Leitgeber, stryjeczny brat dziadka Jana, i dokąd kiedyś zabrał nas samochodem wuj Bolesław<sup>19</sup>. Albo do Tarnowa w powiecie inowrocławskim, gdzie miał swój majątek Władysław Seyda.

Przełom w dotychczasowych kierunkach podróży i odwiedzin u krewnych przyniosły wakacje 1938 i 1939 r. Nasi rodzice zabrali wtedy całą swoją trójkę do rodzinnych Czemierni-

<sup>18</sup> Dom w Borzykowie wymieniają Marcin Libicki, Piotr Libicki, *Dwory i palace wiejskie w Wielkopolsce*, Rebis, Poznań 2003, s. 30. Uległ on po wojnie zniekształceniu wskutek usunięcia werandy i dobudowania doń nowych skrzydeł.

<sup>19</sup> Dom w Głębokim wymieniają M. Libicki, P. Libicki, *Dwory i palace wiejskie...*, s. 30.

nik ojca, wsi kiedyś w powiecie lubartowskim, a później radzyńskim, za czasów pierwszej Rzeczypospolitej miasta, ale przez carat administracyjnie zdegradowanego za rolę, jaką jego mieszkańcy odegrali w powstaniu 1863 r. Ojciec wspominał zresztą opowieść swego dziadka Andrzeja o jakiejś potyczce powstańców z kozakami, która rozegrała się na groblach wokół stawów przy dawnym pałacu Firlejów. Zapewne nie zdawałem sobie dobrze z tego sprawy, ale dla Marychny i Krzysztofa, którzy wkraczali wtedy w wiek dojrzenia i formowania się trwałej pamięci, pobyt w Czemiernikach był spotkaniem ze światem zupełnie innym niż ten, w którym się dotychczas wychowywaliśmy. A więc najpierw odkrywali życie w czternastohektarowym gospodarstwie w Lubelskiem, w domu naszych dziadków, Marcina i Józefy, a także codzienne bytowanie w niewielkiej posiadłości siostry ojca Celiny i jej męża, inżyniera rolnika Antoniego Abramowicza. Było to także pierwsze spotkanie z synami wujostwa, nowymi dla nas cioteczniymi braćmi, Andrzejem i Adamem. Jak to na wakacjach, Marychna i Krzysztof jeździli konno, chłopcy strzelali z wiatrówki do wróbli, z czego ja byłem ku mojej rozpaczce wykluczony. Do pobliskiego lasu chodziło się na poziomki. Odkrywaliśmy też coś zupełnie nowego, nieznanego nam z Poznania. Na rynku miasteczka spotykaliśmy stojące w grupach brodate postacie w chałatach i jarmułkach na głowach. Droga obok domu naszych dziadków prowadziła na niezbyt odległy kirkut i co jakiś czas przechodził tą drogą czarny orszak pogrzebowy z zawodzącymi płaczkami. Odkrywaliśmy, że Polski nie można oglądać tylko z perspektywy Poznania.

O tym, że Polska przed wojną nie wszędzie tak samo wyglądała, przekonywaliśmy się już w czasie podróży z Poznania do Czemiernik. Kiedy jechaliśmy koleją, rodzice zwracali naszą uwagę na inny niż w Wielkopolsce krajobraz, który rozpościerał się z okien wagonu po przejechaniu Strzałkowa, dawnej pruskiej stacji celnej między zaborami niemieckim i rosyjskim. Potem przychodziła Warszawa, w której za każdym razem zatrzymywaliśmy się na kilka dni. Czasem był to pensjonat w Alejach Jerozolimskich, położony naprzeciw budującego się właśnie nowego Dworca Głównego. Z jego okien z fascynacją patrzyliśmy w dół, na nieznaną nam z Poznania potok samochodów, dorożek i autobusów, słuchaliśmy niezwykłego dla naszych uszu gwaru warszawskiej ulicy, a wieczorem przyciągało oczy morze kolorowych reklam. Innym razem było to mieszkanie jednej z dalszych ciotek naszej matki na Pradze, w domu położonym na rogu ulic Brukowej<sup>20</sup> i Wrzesińskiej, gdzie rano budziły nas nawoływania ulicznych handlarzy i bardzo szczególny dźwięk głośnych rozmów prowadzonych w języku jidysz.

Matka zawsze wszystko wspaniale planowała. Kiedy przyjeżdżaliśmy do Warszawy, był więc czas i na wizyty u rodziny i na zwiedzanie miasta. W Warszawie były bodaj trzy domy krewnych matki, które się odwiedzało, a z wędrowek po mieście do dzisiaj pamiętam Muzeum Narodowe, oglądanie Łazienek, gdzie więcej niż pałac przyciągały mnie wiewiórki w parku, a potem zwiedzanie Zamku Królewskiego, po którym wielką atrakcją było karmienie gołębi na Rynku Starego Miasta (il. 9).

Wrz z pierwszą podróżą w Lubelskie otworzył się też przed nami nieznaną wcześniej rozdział z życia naszego ojca. Dowiedzieliśmy się wówczas o istnieniu jego ukochanego stryja, ks. Franciszka Skubiszewskiego. Jadąc do Czemiernik w 1938 r. zatrzymaliśmy się w Sernikach nad Wieprzem, gdzie zmarł on jako proboszcz tamtejszej parafii i gdzie nawiedziliśmy jego grób. Ojciec wspominał swego stryja z nieukrywanym wzruszeniem jako kogoś, kto wywarł silny wpływ na jego życie w młodości. Jako chłopiec i uczeń gimnazjalny ojciec spędzał u niego wakacje w Sernikach, poznawał tam jego przyjaciół, wśród nich Ludwika Grabow-

<sup>20</sup> Obecnie ul. Okrzei.

skiego – właściciela miejscowego majątku i znanej wówczas stadniny<sup>21</sup>. Z opowiadań tych dowiadaliśmy się również, że stryj naszego ojca był jako ksiądz prześladowany przez władze carskie. Niestety, nie byliśmy w młodości dość dociekliwi, by więcej ojca o to pytać. Później Krzysztofa i mnie stale ten temat nurtował i wracał podczas naszych rozmów o rodzinie, a nurtował tym bardziej że – sądząc po sporej bibliotece, jaką ks. Franciszek Skubiszewski po sobie zostawił – musiał to być kapłan wykształcony i o szerokich horyzontach<sup>22</sup>.

Krzysztof wielokrotnie nalegał, bym spróbował dowiedzieć się więcej o tym trochę dla nas tajemniczym kapłanie, stryju naszego ojca. W końcu znalazłem nieco czasu i odbyłem w 2007 r. podróż do Czemiernik, gdzie przejrzałem archiwum parafialne, i do Lublina, gdzie przeprowadziłem kwerendę w archiwum archidiecezjalnym, posiłkując się przy tym diecezjalnymi spisami ówczesnego kleru<sup>23</sup>. W wyniku tych poszukiwań mogłem w przybliżeniu zrekonstruować biografię ks. Franciszka Skubiszewskiego i opowiedzieć o tym mojemu bratu.

Po wyświęceniu na kapłana w grudniu 1867 r. Franciszek Skubiszewski odbył zwykłą drogę młodego księdza, zajmując stanowisko wikariusza w kolejnych parafiach ówczesnej diecezji lubelskiej. W 1875 r. biskup Walenty Baranowski powierzył mu po raz pierwszy rządy parafią; było to w Parczewie, w dekanacie włodawskim. W tym samym roku dotknęła go pierwsza represja ze strony władz carskich za przestępstwo spowiadania miejscowych unitów. Ks. Franciszek musiał opuścić Parczew i przez kilka następnych lat nie pozwolono powierzać mu funkcji proboszcza. Najwidoczniej jednak nadal nie zamierzał poddawać się restrykcjom zaborcy. Już jako proboszcz w parafii Krzeszów w dekanacie biłgorajskim, w dniu Bożego Ciała w 1886 r., nie mając na to zgody administracji rosyjskiej, wyszedł w okoliczne pola z procesją eucharystyczną. Został za to ukarany grzywną 50 rubli. W lipcu następnego roku policja carska odkryła, że działał on w nielegalnym Bractwie Serca Jezusowego. Za to z kolei został skazany przez Generala Gubernatora Warszawskiego na miesiąc zamknięcia w pojedynczej celi klasztornej. Karę tę odbył w klasztorze oo. kapucynów w Nowym Mieście nad Pilicą. Kiedy przeglądaliśmy z Krzysztofem zebrane przeze mnie wypisy z akt archiwalnych, zrozumieliśmy, dlaczego ojciec z takim szacunkiem wspominał swojego stryja. W naszym domu na ul. Dąbrowskiego była przechowywana stara fotografia tego kapłana. Kiedy Krzysztof przeprowadził się z Poznania na ul. Lewicką w Warszawie, oprawił ją w ramkę i zawiesił nad swoim biurkiem – dawnym biurkiem ojca<sup>24</sup>.

<sup>21</sup> Zob. Witold Pruski, „Grabowski Ludwik” [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, T. VIII, Wrocław-Warszawa-Kraków, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1959-1960, s. 500-501.

<sup>22</sup> Biblioteka ta liczyła dobrze ponad tysiąc woluminów i obok najliczniejszych w niej dzieł religijnych zawierała także encyklopedie, literaturę piękną oraz książki z zakresu nauk moralnych. Niestety uległa ona rozproszeniu. Jej resztki, w liczbie kilkuset woluminów oglądałem jeszcze w Czemiernikach w 1951 r. Kilka pochodzących z niej starodruków przechowuję dotąd w mojej bibliotece domowej.

<sup>23</sup> Archiwum Archidiecezjalne w Lublinie. Rep. 60.II.B. S 53. Akta osobiste ks. Franciszka Skubiszewskiego (1844-1907). O pamięci, jaką ks. Franciszek Skubiszewski zostawił po sobie wśród parafian pisze Szczepan Wróbel, „Smutek w Symikach [sic]”, *Zorza Warszawska*, 18 kwietnia 1907, s. 310. Jako kapłana represjonowanego przez władze carskie wymienia go Paweł Kubicki, *Bojownicy kapłani za sprawę Kościoła i Ojczyzny w latach 1861-1915. Materiały z urzędowych świadectw władz rosyjskich, archiwów konsystorskich zakonnych i prywatnych. Część pierwsza. Dawne Król. Polskie. T. II. Diecezje: Lubelska z Podlaską i Płocka*. Sandomierz, Nakładem autora, 1933, s. 218-219.

<sup>24</sup> Krzysztof bardzo interesował się przeszłością naszej rodziny ze strony ojca. W ostatnich latach życia zapisywał dane o jej członkach, wśród nich o osobach żyjących w XIX w., ale także o Skubiszewskich żyjących do dzisiaj w Alzacji i Lotaryngii; notatki te zachowały się w naszym archiwum rodzinnym. Często było to tematem naszych rozmów. Kiedy nakłaniał mnie do zebrania informacji o ks. Francisz-



Jestem przekonany, że podarowane nam kiedyś przez rodziców z tak wielką szczodrością okazje zobaczenia różnych miejsc Polski i poznania rozmaitych, związanych z nimi osób, zaszczyliły w Krzysztofie jego zamiłowanie do zwiedzania świata. Przy czym wcale nie mam na myśli podróży, które odbywał w związku z pełnionymi funkcjami czy też biorąc udział w światowym życiu akademickim. Tych było bez liku, ale nie o nich pragnę tutaj pisać. Mam na myśli podróże, które odbywał jako zwykły turysta, niezwiązany żadnymi obowiązkami, a wiem na pewno, jaką radość mu sprawiały, ponieważ kilkakrotnie w takich właśnie wyprawach mu towarzyszyłem.

Jedną z tych podróży wspominam jako wprost uroczą. Była to podróż do Szwajcarii i Włoch we wrześniu i październiku 1969 r. Trwała prawie pięć tygodni. Odbyliśmy ją w trójkę, z moją żoną. Krzysztof cały czas sam prowadził swojego volkswagena. Pierwszym etapem była La Châtaigneraie-Founex nad Jeziorem Genewskim, gdzie miał swój dom i niewielką winnicę wuj Bolesław (il. 10). Wuj był bardzo gościnnie, urządzał u siebie z okazji naszego pobytu cocktaile. Tam było jeszcze trochę rozmów o polityce, bo wciąż nie mogliśmy się otrząsnąć po najeździe wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację i nadal przeżywaliśmy uczucie smutku po fali antysemityzmu, jaką komunistyczna władza rozpełtała wtedy w Polsce. Z kolei Krzysztof też nie mógł zapomnieć niedawnej odmowy, z jaką spotkało się wystąpienie jego macierzystego uniwersytetu o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego<sup>25</sup>. Ale po przekroczeniu przełęczy świętego Bernarda, kiedy zaczęły się Włochy i ich zwiedzanie, piękno tego kraju wyгнаło z naszych głów smutne myśli. Szybko dojechaliśmy do Rzymu, gdzie samochód został w garażu, a my zamieszkaliśmy w niewielkiej *Pensione Monini*, przy Piazza Sant' Ignazio<sup>26</sup>. Hotelik ten wybrała moja żona, ponieważ bardzo go polubiła, czasem się w nim zatrzymując w czasie swych pobytów w Rzymie. Kto był na Piazza Sant' Ignazio, napewno nie zapomni architektury rozsnutej wokół tego placu tak, jakby to była dekoracja teatralna. Do dziś pamiętam zachwyty Krzysztofa, kiedy pierwszy raz zeszliśmy na poranną kawę, podaną na stoliku przed hotelikiem i kiedy to barokowe *theatrum* pokazało nam we wczesnym słońcu całą swoją urodę. W Rzymie było, oczywiście, przede wszystkim zwiedzanie. Krzysztof z największą uwagą słuchał tego, co mu o zabytkach Wiecznego Miasta i obrazach w galeriach opowiadali jego szwagierka i brat, oboje historycy sztuki. Czasem coś sobie zapisywał. Ponownie odkrywałem, jak bardzo był ciekaw świata i jak bardzo był otwarty na dziedziny odległe od tego, czym zajmował się zawodowo. Było też dość czasu na odwiedzin u naszych rzymskich krewnych i przyjaciół: ks. Andrzeja Deskura, Karoliny Lanckorońskiej, Reni i Au-

ku, prosił, bym spróbował dowiedzieć się także jak najwięcej o naszych przodkach i ustalić, skąd oni się wywodzili. Niestety, nigdy nie miałem dość czasu, by przeprowadzić w tej sprawie systematyczne badania i mogłem Krzysztofowi przekazać tylko kilka luźnych wiadomości zebranych z dokumentów w archiwach parafialnych Czemiemik i Węgrowa. Wynikało z nich, że Skubiszewscy pojawili się na Lubelszczyźnie na przełomie XVIII i XIX w., a przedtem mieszkali na Podlasiu.

<sup>25</sup> Przytaczam zachowany w naszym archiwum rodzinnym odpis pisma przesłanego Uniwersytetowi w tej sprawie: „Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. Nr DU-4-198-40/68. Warszawa, dnia 16 grudnia 1968 r. Poufne. Obywatel Rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu ul. Stalingradzka 1. Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zwraca dokumentację wniosku w sprawie nadania ob. doc. dr Krzysztofowi Skubiszewskiemu tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego nauk prawnych z uprzejmą informacją, że wniosek ten jest nieaktualny. Dyrektor Departamentu. /podpis nieczytelny/ (Wit Drapich)”. Była to bez wątpienia kara za to, że na jednym z pierwszych swych wykładów z prawa międzynarodowego w roku akademickim 1968/1969 Krzysztof mówił o nielegalnym charakterze zajęcia Czechosłowacji przez wojska państw Układu Warszawskiego.

<sup>26</sup> Hoteliku tego od dawna już tam nie ma.

gusta Morawskich. W czasie tych wizyt znowu dostrzegałem u Krzysztofa coś, co mnie od młodości w nim uderzało. Miał jakiś naturalny dar skupiania na sobie uwagi. Kiedy mówił, to on nadawał ton rozmowie wiedzą, powagą tematów i trafnością sądów.

Powrót przez Umbrię, Toskanię, Emilię, Veneto i Friuli był znacznie dłuższy, niż jazda od granicy szwajcarskiej do Rzymu. Po drodze dużo zwiedzaliśmy i Krzysztof z właściwą sobie uwagą i skupieniem chłonał sztukę włoską. Kilka dni spędziliśmy w Toskanii, gdzie w Fiesole, wieczorami przyjmowała nas wspianymi kolacjami Krystyna Marek. Wiem, że mimo różnicy wieku, łączyła ją z Krzysztofem głęboka przyjaźń. Widzieliśmy z żoną, jak wiele mieli sobie do powiedzenia i jak wielkie ich łączyło wzajemne do siebie zaufanie. Kiedy patrzę dzisiaj na zrobione w Asyżu, Sienie i Padwie fotografie Krzysztofa, widzę jego uśmiechniętą i pełną radości twarz. Wracaliśmy doliną Adygi, przez Brenner i zatrzymaliśmy się na kilka dni w Wiedniu. Akurat dawano tam w kinach niedawno nakręconą *Bitwę o Anglię*. Krzysztof uwielbiał filmy wojenne, a ponieważ nie było szans, by obraz ten kiedykolwiek dotarł do Polski Ludowej, trzeba go było koniecznie obejrzeć w Wiedniu. Krzysztof był zachwycony.

Okazji do rodzinnych spotkań połączonych z podróżą i zwiedzaniem było więcej. Jedno z tych spotkań zapisało się w mojej pamięci szczególnie wyraziście. Były to wiosenne wakacje w kwietniu 1988 r. Krzysztof przyjechał wtedy do Francji, gdzie mieszkalem z moimi najbliższymi (il 11). Przyjechała też do nas z Londynu Marychna. Najpierw był to pobyt w Saint-Palais-sur-Mer z przepięknymi spacerami nad brzegami Żyrondy, gdzie rzeka ta wpada do Oceanu Atlantyckiego, a potem oglądanie zabytków naszego miasta, Poitiers i jego okolic – regionu Poitou-Charentes, w którym Krzysztof znalazł się po raz pierwszy. Jak zawsze, przyjechał czytany i dobrze przygotowany do oglądania nieznanego mu przedtem ziemi. Ale widziałem też, że kiedy na własne oczy zobaczył wspianą sztukę romańską Francji zachodniej, oglądał ją z największym zapałem, zapominając o wiedzy książkowej. Ogromnie wiele wtedy na różne tematy rozmawialiśmy. Najpierw o sprawach rodzinnych, które u Krzysztofa zawsze stały na pierwszym miejscu, a wówczas nasuwały się one tym bardziej że przez kilka lat nie mogliśmy się widzieć. Krzysztof przyjechał do nas z poczuciem osamotnienia po śmierci matki, z którą był tak blisko związany przez ostatnie lata jej życia. Od dwóch lat mieszkał na ul. Słowiańskiej sam i nie mógł już zejść dwa piętra niżej do matki, do której przywykł niemal codziennie przychodzić na kolację. Miałem wrażenie, że teraz otoczenie kochających go najbliższych przywraca mu powoli pogodę ducha, że wyrwa go też trochę ze stanu pesymizmu, w jakim znalazła się większość Polaków w ponurym czasie po wprowadzeniu stanu wojennego.

Z natury rzeczy, rozmowy nasze toczyły się w tamtych dniach w dużym stopniu wokół polityki. Zastanawialiśmy się nad jakąś zupełnie niezrozumiałą nieprzystawalnością idei komunizmu do natury człowieka, nad tym, że ustrój komunistyczny jest dla społeczeństwa groźny, bo je rozbija, ale jednocześnie jest w nim coś groteskowego. Mówiliśmy dużo o głębokim kryzysie tak obcego Polsce systemu i o „pierestrojce” wprowadzanej w Związku Sowieckim przez Michaiła Gorbaczowa. Nie przypominam sobie, by w tych dyskusjach ktokolwiek z nas przewidywał jakieś zmiany na lepsze, nie mówiąc już o zmianach tak radykalnych jak te, które miały nastąpić rok później. Pamiętam za to, że do rozmowy o bieżącej polityce Krzysztof wplatał wtedy – jak to było często w jego zwyczaju – refleksje o historii i dzielił się z nami myślą o tym, że niekiedy jakieś nieoczekiwane wydarzenie może zakłócić biegnący, zdawałoby się w jednym kierunku, proces dziejowy i że wydarzenie to może pociągnąć za sobą pasmo nieprzewidywalnych konsekwencji.

Jedną z okazji do dyskusji na te tematy dały *Rozważania o wojnie domowej* – książka Pawła Jasienicy, którą Krzysztof przywiózł mi wtedy z Polski w prezencie i której lekturę mieliśmy obaj w świeżej pamięci. Nasze rozmowy o opisanym tam buncie Wandei przeciwko rewolucji

nabierały wtedy jakiejś dziwnej aktualności. Wandea nie wchodziła wprawdzie w skład regionu Poitou-Charentes, ale jako dawna część historycznego hrabstwa Poitou, nadal była kulturowo i poprzez migracje ludności silnie z Poitiers związana. Duża jej część, tradycyjnie określana jako „biała”, była – podobnie jak nasze miasto – silnym ośrodkiem katolicyzmu w zachodniej Francji. Kiedy socjalistyczny premier Pierre Mauroy postanowił w 1984 r. połączyć w jednym systemie nauczania szkoły państwowe z prywatnymi, katolickimi i – praktycznie rzecz biorąc – tym drugim odebrać dotychczasową niezależność, we Francji wybuchły manifestacje. Największa z nich odbyła się w Paryżu 24 czerwca<sup>27</sup>. Według organizatorów, to właśnie Francja zachodnia wyróżniła się wśród innych regionów największą liczbą autokarów z uczestnikami protestu. Pojechali na nią wszyscy nasi francuscy bliscy znajomi i przyjaciele z całymi rodzinami. Pamiętam, z jaką uwagą Krzysztof, zawsze bardzo wyczulony na związki współczesności z przeszłością, słuchał naszych relacji o tamtych wydarzeniach i żywo je komentował.

Obok podróży, które Krzysztof odbywał, by poznać jakieś nowe miasta i regiony, ich historię i zabytki, ogromną przyjemność sprawiały mu także te wyjazdy, których celem nie było nic innego jak kontakt z przyrodą – wyjazdy, które pozwalały na spacer w lesie czy nad wodą. Regularnie zabierał matkę samochodem do lasów pod Poznaniem, a niekiedy wyjeżdżali oboje też dalej, poza Wielkopolskę. Mógł to być nawet dość odległy od Poznania Nieborów, skąd Krzysztof uwielbiał wypady do pobliskiego, przepięknego parku w Arkadii (il. 12). Często był to Wieleń nad Notecią, gdzie nadleśniczym był Zygmunt Czamecki, mąż ciotki Iny (Ireny z domu Holtzer), jednej z dalszych kuzynek naszej matki, blisko z nią od młodości zaprzyjaźnionej<sup>28</sup>. Tam wielki kompleks nadnoteckich lasów zapraszał do niekończących się wędrowek wśród przyrody (il. 13), a leśniczówka, w której mieszkali wujostwo, urządzona tak, jakby to był dom wiejski przed wojną, pozwalała trochę zapomnieć o życiu w socjalizmie. Później, kiedy Krzysztof był u nas na wakacjach w Dębku na Pomorzu (il. 14), widziałem, jaką radość sprawia mu codzienny spacer do wspaniałego lasu po drugiej stronie rzeki Piaśnicy. Szedł niespiesznie drogą do Białogóry, patrzył na drzewa i na poszycie lasu i niewiele mówił. Przypuszczam, że wracał wtedy myślą do swych dawnych marzeń. W młodości bowiem Krzysztof chciał zostać leśnikiem. Przy całym wielkim zainteresowaniu historią i polityką, z właściwą sobie starannością przygotowywał się do tego zawodu. W czasie okupacji niemieckiej, kiedy przyjeżdżał z Warszawy na wakacje szkolne do rodziców, do Międzyrzecza Podlaskiego, odbywał systematycznie praktykę w miejscowym nadleśnictwie wielkiej domeny należącej przed wojną do Andrzeja Potockiego<sup>29</sup>. Kres temu projektowi położyła ciężka choroba serca, której nabawił się w 1944 r. w następstwie szkarlatyny i której skutki odczuwał do końca życia. Jeszcze niedawno wspominaliśmy sobie z moją siostrą Marychną te młodzieńcze plany brata i jego pragnienie, by kiedyś żyć w otoczeniu lasu i dla lasu pracować.

Wróciłem w tym wspomnieniu do świata, którego już dawno nie ma. Ale nie mogło być inaczej, jeżeli miałem powiedzieć coś od siebie o Krzysztofie. To tamten dawny świat go ukształtował i w gruncie rzeczy to on krył się za wszystkim, co mój brat w swoim życiu powiedział i zdziałał.

PIOTR SKUBISZEWSKI  
Warszawa

<sup>27</sup> Według różnych źródeł, wzięło w niej udział od 800 tys. do dwóch milionów uczestników.

<sup>28</sup> Nasza matka i ciocia Inia miały wspólnego pradziadka Hipolita Trąpczyńskiego.

<sup>29</sup> Krzysztof odbywał praktykę pod kierunkiem ówczesnego nadleśniczego w Międzyrzeczu Podlaskim, Stefana Nowakowskiego.



1. Marychna, Piotr i Maria u Krzysztofa Skubiszewskiego w jego mieszkaniu na ul. Lewickiej w Warszawie. Sierpień 1997. Fot. P. Skubiszewski



2. Józef i Gabriela Zakrzewscy, Krzysztof Skubiszewski i Maria Skubiszewska w mieszkaniu Marii i Piotra Skubiszewskich w Warszawie. Nowy Rok 2006. Fot. P. Skubiszewski



3. Ludwik Skubiszewski z dziećmi w mieszkaniu na ul. Dąbrowskiego w Poznaniu. Marzec 1937.  
Fot. A. Skubiszewska



4. Srebrne wesele Ludwika i Anieli Skubiszewskich. Aniela i Ludwik Skubiszewscy, Roman Leitgeber,  
Krzysztof Skubiszewski, Maria Leitgeberowa. 24 czerwca 1949. Fot. P. Skubiszewski



5. Wigilia na ulicy Dąbrowskiego. Ewa, Andrzej i Jacek Śmigielscy, Marychna Skubiszewska, Wojciech Śmigielski, Maria Leitgeberowa, Aniela, Ludwik i Krzysztof Skubiszewscy. 24 grudnia 1952.  
Fot. P. Skubiszewski



6. Krzysztof Skubiszewski i Jerzy Łukaszewski na Florydzie w Stanach Zjednoczonych. Czerwiec 1958.  
Fot. nieznanym



7. Marychna, Piotr i Krzysztof Skubiszewscy  
na wakacjach w Borzykowie. Sierpień 1936.  
Fot. A. Skubiszewska



8. Krzysztof Skubiszewski i Krzysztof Kuczyński przed domem w Laskownicy. Lipiec 1939.  
Fot. A. Skubiszewska



9. Piotr, Marychna i Krzysztof Skubiszewscy karmią gołębie na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Sierpień 1938. Fot. A. Skubiszewska



10. Krzysztof Skubiszewski i Bolesław Leitgeber w La Châtaigneraie-Founex. Wrzesień 1969. Fot. P. Skubiszewski





11. Marcin i Krzysztof Skubiszewscy na wakacjach w Saint-Palais-sur-Mer. Kwiecień 1988.  
Fot. P. Skubiszewski



12. Krzysztof Skubiszewski, Gabriela Zakrzewska, Aniela Skubiszewska, Maria Skubiszewska  
z Marcinem i Piotr Skubiszewski w Arkadii koło Nieborowa. 1 maja 1973. Fot. Józef Zakrzewski



13. Zygmunt i Irena Czarneccy, Krzysztof Skubiszewski i Ewa Śmigielska. Wielień nad Notecią. Wrzesień 1977. Fot. A. Skubiszewska



14. Marie-Hélène, Ewa i Marcin Skubiszewscy, Ewa Deskur i Krzysztof Skubiszewski na wakacjach w Dębkach. Sierpień 2006. Fot. P. Skubiszewski